



...czyli gdzie ją oddać?

- Yyyyyyyyyyyyyyyyyyy! - rozlegało się w całym domu.

Nie pomagało uspokajanie, noszenie na rękach, głaskanie, przemawianie, w czułości, w złości, w rezygnacji. Twarzyczka Hani wykrzywiała się w bólu, całe ciało prężyło mocno... Nic nie skutkowało...

- Yyyyyyyyyyyyyyyyyyy! - godzina za godziną.

?Ileż ona jeszcze będzie wyć???? - przebiegały przez moją głowę pytania, gdy wycie, dosłownie jednostajne, głośnie wycie nie ustępowało mimo upływu godzin.

- Yyyyyyyyyyyyyyyyyyy! - bez przerwy.

?Ja zwariuję, oszaleję? - powtarzałam sobie, gdy po raz kolejny okazywało się, że nawet na chwilę nie da się odpocząć, bo ciągle rozlega się ten jednostajny krzyk.

- Yyyyyyyyyyyyyyyyyyy! - dwadzieścia cztery godziny na dobę.

?Niech ona przestanie, niech przestanie, proszę, niech ona przestanie? - recytowałam jak mantrę w nocy, jak bezgłośnie prośby wysyłane do... właściwie to nie wiem, kto miałby i mógłby mnie słyszeć. Ale chciałam, żeby przestała, żebym mogła wreszcie spokojnie zmrużyć oczy, choć na chwilę odpocząć. Głowa pod poduszką wcale tego nie wyciszała...

- Yyyyyyyyyyyyyyyyyyy! - wciąż na nowo.

?Nie wytrzymam tego... nie dam rady... wywiozą mnie do wariatkowa... albo w łeb sobie strzelę!? - mówiłam do siebie w końcu. Zmęczona, zmaltretowana, tak fizycznie, jak i psychicznie marzyłam choć o chwili spokoju, odpoczynku, ciszy... A tu nic z tego...

Malutka, niemowlęca Hania wyła bez przerwy. Nie dało się nic zrobić. Jej krzyk słyszalny był w całym domu. Nie dało się normalnie porozmawiać, nie dało się niczego zrobić. Wszystko we mnie chodziło z nerwów.

?Gdzie ją oddać? Gdzie ją oddać? Ja muszę ją oddać! Ja tego nie wytrzymam!? - tak, dokładnie takie myśli przeszły mi przez głowę, gdy miałam już serdecznie dość. Niewyspania, poczucia bezradności, beznadziejności, krzywdy i rozpacz. Tak, to było moje dziecko, ale nie dawałam już rady. Wyrodna popieprzona matka! Tak by pomyśleli niektórzy. Wariatka! Ok, niech i tak będzie... ale najpierw niech oni spróbują to wytrzymać. I jeszcze jako tako funkcjonować... Pracować, zajmować się domem, opiekować dzieckiem. Zwariują po pierwszym dniu. A ja tych dni przetrzymałam wiele, bardzo wiele. Dni jednostajnego, wibrującego dźwięku, dni dobijających nie tylko tym krzykiem, tym wyciem, ale również widokiem twarzy własnego dziecka, wykrzywionej w ogromnym bólu, czerwonej, spłakanej, skrzywdzonej... ?Po co pozwoliłeś jej żyć?? - pytałam, spoglądając w górę. ?Po co? Dla tego bólu, dla tego płaczu? No, po co????

Miałam dość... Wyklepałam w internecie różne ośrodki, chwyciłam słuchawkę, zaczęłam dzwonić. Musiałam, po prostu musiałam się dowiedzieć, gdzie ją mogę zostawić, kto może

zabrać ode mnie chore dziecko, żebym miała święty spokój... po prostu święty spokój. Dzwoniłam, przedstawiałam się, mówiłam jaka jest sytuacja... pytałam, czy mogę ją przywieźć... i zostawić...

- Nie, proszę pani ? słyszałam.

Nie? Jak to nie? Co to znaczy nie? Nie ma mowy, żeby ktoś mi powiedział ?nie?! Przecież ja tu wariuję. Ja za chwilę oszaleję. Jak to nie? Jak to???

- Nie można, proszę pani ? każda odpowiedź była bezlitosna.

- Nie wcześniej, aż ukończy trzy lata ? padało wyjaśnienie.

Trzy lata? Trzy lata? - krzyczałam w myślach. Jak ja mam z nią wytrzymać trzy lata? Nie uda mi się wytrzymać nawet trzech kolejnych dni. A co tu mówić o latach... Trzy lata... Ponad tysiąc dni... Nie! To niemożliwe! NIE-MOŻ-LI-WE!!!

Wytrzymałam... Nie tylko trzy następne dni, ale i trzy kolejne lata... A potem następne trzy...

Hania niedawno obchodziła swoje szóste urodziny. Czyli już dwa razy po trzy lata. Nie oddałam jej... I nie oddam...